

Kronika tygodniowa.

Obecną kronikę miałem początkowo ochotę poświęcić „okropnościom wojny“, nie chcąc jednak zbyt denerwować Czytelników, wolę załatwić się z tą kwestią po lekarsku, to jest, jak to powiadają „co godzina po łyżce“, co się na język kronikarski tłumaczy, co kronika, to jedna okropność.

Początek zrobiony już właściwie, za pierwszą tego rodzaju opowieść uważam bowiem tragiczny los burmistrza z Dobczyc, zatytułowany nawet przeze mnie dla użytku przyszłych historyków wojennych: „Burmistrzowskie buty“.

Dziś wspomnę o dwu okropnościach, to jest o wpływie wojny na zmarłych i o korespondentach wojennych, będących dla nas powodem niejednej nocy bezsennej.

W pierwszym więc rzędzie wojna wpłynęła w ten sposób na ś. p. zmarłych, iż zdarzyło się w pewnej galicyjskiej miejscowości, że jeden z nich, aczkolwiek od sześciu lat spoczywał już w grobie, powstał przeciw z martwych, sądząc zapewne, iż huk „grubej Berty“ to głos trąby archanielskiej, budzącej nieboszczyków ze snu wiecznego i wzywającej ich do raportu „na sąd ostateczny“.

Tak sobie przynajmniej tłumaczę wzmiankę jednego z pism krakowskich, które, opisując podróż swego sprawozdawcy po okolicach, nawiedzonych pożogą wojenną, wyrażnie podaje nazwisko miejscowego proboszcza, zmarłego przed laty sześciu. Czytałem na własne oczy, iż wysłannik redakcyjny spotkał go w bliskości dworca kolejowego i nawet z nim rozmawiał, nie widząc nawet o tem, że mówi z ś. p. nieboszczykiem!

Ba, wyobrażam sobie, co by to dopiero było, gdyby tak był wiedział. Z pewnością byłby urządził wywiad o życiu zagrobowem, stosunkach, jakie panują w niebie, jak się Święci i Święte Pańskie zapatrują na obecną wojnę, słowem, mielibyśmy coś, czego jeszcze nigdy dotąd nie było i nie będzie, przynajmniej aż do chwili zaprowadzenia regularnej komunikacji aeroplanowej między niebem a ziemią.

Ze jednak istnieje jakiś związek między tym a tamtym światem, tego dowodem kartka, jaką otrzymała w kilka dni owa redakcja. Ś. p. nieboszczyk prosił w niej, by na podstawie § 19. nstawy prasowej sprostowano, iż „nie jest prawdą, jakoby ze sprawozdawcą dziennikarskim rozmawiał, natomiast prawdą jest, iż od sześciu lat już nie żyje i na miejscowym cmentarzu spoczywa, o czem każdy, kto ciekawy, może się na własne oczy przekonać!“

Zdziwiła mnie nadzwyczaj szybkość, z jaką wiadomość owa przedostała się z nieba na ziemię, w wojennym czasie przyszybczyliśmy się bowiem do tak ospałego funkcjonowania naszych poczt, iż nic sobie z tego nikt nie robi, jeśli na przykład korespondentka, nadana w Krakowie dnia 3. listopada, dojdzie na miejsce przeznaczenia, także w Krakowie, dopiero 6. grudnia, więc jako prezent od św. Mikołaja.

W ten sam sposób niech sobie wytłumaczają me milczenie moi P. T. Wierzycciele. Na listy, w których upominają się o swą należytość, nie odpowiadam, gdyż ich dotąd jeszcze nie otrzymałem, albo też już je otrzymałem, odpisałem też, nie lubiąc zaległości, ale odpowiedź dotąd na miejsce przeznaczenia nie doszła.

Tak, czy owak, jestem przeciw wobec nich kryty i żadnej odpowiedzialności na siebie nie przyjmuję. Zrobiłem to, co do mnie należało (zwłaszcza, że morderstwo jeszcze obowiązuję), urazę, jeśli chcą, mogą mieć tylko do c. k. poczty. Przysługuje im też prawo reklamacji, z którego niezawodnie zechcą skorzystać.

Drugą okropnością, z jaką zapoznała nas bliżej wojna, jest tak zwany korespondent wojenny, o czem szeroko rozpisuje się „Głos Narodu“.

Dzieli on tę kastę ludzi na dwie kategorie, powiedzmy, korespondentów pierwszej i drugiej klasy, pracujących jednak zgodnie na utrapienie ludzkości.

Pierwszy rodzaj stanowią tak zwani korespondenci wielcy, albo prawdziwi, t. j. ludzie piszący o wypadkach wojennych na podstawie tego, co dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów poza linią bojową widzieli, a przeważnie słyszeli. Opisowi ich esoby poświęca autor sporo miejsca i dochodzi do przekonania, że każdy z nich jest przedewszystkiem t. zw. sportowcem, nosi bowiem nieprzemakalne buty, podkasane spodnie, Bädekera, (który jest dlań źródłem wiadomości geograficznych i strategicznych) i w danym wypadku posługuje się papierem, a ma go zawsze spory zapas w torbie. Z powodu braku

ruchu cierpi podobno zawsze na niestrawność, zupełnie jak i jego czytelnik.

Jeśli to były jego zalety, to teraz zaczynają się wady. Jest więc w pierwszym rzędzie bardzo kosztownym, podróżowanie bowiem, przeważnie samochodami, jest w wojennym czasie bardzo drogie, wszędzie łatwo o sposobność do zabawy, a nuda jest złym doradcą (oj, to prawda!.. przyp. zecera).

W dalszym ciągu zauważa autor, iż taki korespondent wojenny pierwszej klasy, zmuszony przez kilka miesięcy pisać ciągle o wojnie i tylko o wojnie, traci swolna orientację, co jest prawdziwe, a co zmyślane, co sam widział, a co zmyślił, co słyszał, a czego nikt mu nie doniósł i poczyną improwizować, co nazywa się pięknie „tworzeniem nastrojów wojennych“, aż siebie i czytelnika do cna zamroczy.

Czasem, a dzień to w jego życiu niezapomniany, otrzymuje taki pan pozwolenie na zwiedzenie pola bitwy lub okopów, opuszczonych przed miesiącem przez nieprzyjaciela. Teraz dopiero okazuje ogromną ruchliwość, radby na wszystkie strony urządzać wywiady, choćby z „grubą Bertą“, gdy jednak nie ma nikogo, mającego ochotę do gadania pod ręką, wyciąga z kieszeni nieodstępny Bädekera i artykuł gotowy!

Korespondent drugiej klasy, nazwany przez autora artykułu mniejszym, małym, a nawet całkiem małutkim, tem się różni od poprzedniego, iż obywa się bez opaski na ramieniu i podkasanych spodni (proszę tego nie brać dosłownie! Nosi inexprimable i to nawet zakasane, ale tylko wtedy, jeśli w Krakowie jest błoto, więc stale), obywa się bez torby i papieru, o kwaterze prasowej wie zaś tylko tyle, o ile wyczyta coś o tem w którymś piśmie codziennym. Zwłaszcza zagraniczne dzienniki pożera z całą zapalczywością i one są głównym źródłem i krynica jego natchnienia.

Czasem, ale to rzadko, wychodzi w stronę kopca Kościuszki, skąd rozciąga się rozleglejszy widok na „horyzont europejski“ i gdzie można spokojnie obserwować „zaciemniające go, brzemienne w następstwa chmury“.

Ale i ten rodzaj poluje na wywiady, a sposobności w mieście do tego nie braknie, gdyż (cytuje znów słowa autora artykułu) „do Krakowa przyjeżdża czasem służący pana hrabiego z pod Myślenic, albo kucharka państwa W. z pod Wieliczki“. Są to naoczni świadkowie wojny, lubiący mówić. Od nich można się wszystkiego dowiedzieć, czego zaś oni nie podadzą, można samemu dośpiewać. Od czegoż natchnienie?

Następnie w ciszy, jaka panuje w każdej redakcji, lub gdzieś w kąciaku, w którejś z miejscowych kawiarni, przelewa na papier swe wrażenia, by (znów słowa autora) „szpalty dziennika, których obsługuje, były pełne, a odbiorca miał za dziesięć halerzy co czytać, nad tem się zastanowić i pomarzyć, albo się nawet troszkę i pomartwić“.

Artykuł kończy się uwagą, że oba rodzaje mają to ze sobą wspólne, iż czasem wyobrażnia zbyt daleko ich unosi i że znikają z widowni z chwilą, gdy wojna się skończy.

Czy autor niniejszego artykułu nie jest także korespondentem wojennym, skoro tak dobrze zna się na tem, jeśli zaś jest, do której klasy zaliczyć go wypada, sprawdzić na razie nie zdołałem.

Skoro już mowa o okropnościach, to należy wspomnieć, że w ubiegłym tygodniu prócz wojennych mieliśmy także i okropności czysto pokojowe, a do nich należało trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Włochy, mimo, iż ogłosiły one swą neutralność.

Przypisuję mu także nielada polityczne znaczenie. Energia, nagromadzona w głębi ziemi, musiała się koniecznie wyladować, gdyby zaś stało się to było na terytorium któregoś z państw, należących do trójprzymierza lub trójporozumienia, dałoby być powód do najrozmaitszych kombinacji. Skoro zaś potęgi podziemne obrały sobie teren ściśle neutralny, wszystko to odpada i nie może stanowić żadnej przeszkody przy ewentualnych pertraktacjach pokojowych, o których coraz częściej, choć na razie tylko półgębkiem, się wspomina.

Co się mnie tyczy, to obecnie notuję dokładnie wszelkie objawy, które można uważać za wróżby pokojowe.

Jak ongiś powrót gołębic, niosącej w swym dzióbku gałązkę oliwną, był znakiem, że wody potopu już opadły, tak i ja żywię nadzieję rychłego nastania normalnych stosunków, zwłaszcza, że krakowski adwokat i jeżdżący coraz liczniej z Wiednia nad Wisłę, spodziewają się bowiem, że po zaprzestaniu kroków wojennych i wygaśnięciu moratorium zacznie się dla nich prawdziwe żniwo.

Zadawałoby temu wprawdzie kłam odezwanie się lorda Kitchenera, angielskiego ministra wojny, który

na zapytanie, kiedy się obecna wojna zakończy, odpisał z powagą:

— Kiedy się skończy, nie wiem, wiem jednak, kiedy się zacznie!

— Kiedyż, ekscellencyo?

— W maju!..

Wiadomo zaś, że w n. p. w mowie krakowskich andrusów wyrażenie „w maju“, ma to samo znaczenie, co „nigdy“. Może to być i w tym wypadku bardzo dobrze zastosowaniem, wiemy bowiem, że wojna się już zaczęła w sierpniu ubiegłego roku, więc teraz na nowo zaczynać się nie potrzebuje.

Zresztą ja wierzę więcej krakowskim adwokatom, niż jakimś tam Kitchenerowi, który, jako żołnierz, nie może mieć tak wyrobionego zmysłu powonienia, jak przedstawiciele naszej palestry, znani szeroko z szybkiego orientowania się w sytuacji.

Zapytywano mnie z kilku stron, czy w związku z owym włoskiem trzęsieniem ziemi stoi zawalenie się trzech sklepów w kamienicy pana Fendlera przy ulicy Bożego Ciała. Na razie nie mogłem się zdobyć na stanowcze orzeczenie, nie będąc z zawodu geologiem, choćby tylko nadzwyczajnym, gdy się przecież rozglądał dokładnie, przekonałem się, że miejsce katastrofy leży o kilkaset zaledwie kroków od „Wenecyi“, więc powinno być na terytorium włoskiem, a właśnie ono trzęsieniem ziemi zostało nawiedzone. O związek więc nie trudno.

To przynajmniej dobre, iż wybuch bomby, rzuconej z aeroplanu, jest stanowczo wykluczony, o politycznych powodach zawalenia także mówić nie można, zwłaszcza, że właściciel domu bawi obecnie nad modrym Dunajem, choć wróciłby chętnie do Krakowa, gdyby nie tak trudno było o uzyskanie niebieskiej kartki, pozwalającej na swobodny przejazd w obręb twierdzy krakowskiej.

Proszę jednak nie myśleć, że owa „Wenecya“ krakowska to to samo, co owa, u wylotu ulicy Wolskiej, będąca ongiś fortecą konserwatyzmu i miejscem, w którym powstawały najwspanialsze nekrologi. My mamy i drugą „Wenecję“ tuż obok starego mostu podgórskiego, ściśle demokratyczną i o niej właśnie wspominam.

A i politycy nasi, ci o szerszym horyzoncie, mają także sposobność mówić o okropności, choć nie wiedzą sami, czy ją zaliczyć do kategorii wojennych, czy pokojowych. Tematem ich rozhovorów jest niespodziewane ustąpienie austriackiego ministra spraw zagranicznych, hr. Berchtolda i objęcie spadku po nim przez barona Buriana.

Kto kieruje naszą polityką zewnętrzną, im wszystko jedno, zachodzą przecież w głowę, jaki mógłby być powód ustąpienia jednego a powołania drugiego, rzadko się bowiem zdarza, by na tak odpowiedzialnym stanowisku następowała zmiana i to w czasie tak poważnym, jak obecny.

I o to zapytywano mnie z różnych stron. Jednym odpowiadam, że na polityce się nie znam, drugich zaś przekonuję, iż wprawdzie wiem, ale powiedzieć nie mogę, bo to tajemnica urzędowa, o której może wiedzieć tylko kronikarz „Nowości Ilustrowanych“ i urząd spraw zagranicznych, szersza zaś publiczność nie powinna tam wtykać swego nosa, bo to niezdrowo. Powód w każdym razie jest, bo musi być.

O ile mnie to osobiście dotyczy, to pana Berchtolda bardzo żałuję, znałem się z nim bowiem bardzo dobrze i nieraz nawzajem poddawaliśmy sobie projekty, on mnie do kronik tygodniowych, ja jemu do rozmaitych figlów politycznych. Właśnie te, które świat zanisał na karcie jego sukcesów, powstały pod moim wpływem, z czem on się bynajmniej nie krył, uważając mnie za swego jedynego bezstronnego, a zarazem i bezinteresownego doradcę, nigdy bowiem honorarium autorskiego odeń nie żądałem, wiedząc, że budżet ministerstwa ledwie dycha.

Zegnam go też ze złością sercem, następcy jego zaś życzę, by wstępował w ślady poprzednika, to jest słuchał mych rad, a źle na tem nie wyjdzie!

A zorientować się w polityce obecnie bardzo trudno, bo nikt nie może utrafić w sedno, gdzie właściwie leży ten punkt, który stanowi o równowadze. Mamy wojnę we Francji i Belgii, mamy ją w Alzacji, w Prusach Wschodnich, Galicyi i Królestwie, na Węgrzech i w Serbii, na Kaukazie, w Egipcie i t. d. Badając mapę, przypomina sobie człowiek mimowoli całą geografie, której tajniki wbiłano mu w głowę różnemi drogami w czasie studiów gimnazjalnych i, powiedzmy prawdę, dziękuje Panu Bogu, że nie potrzebuje się tem zajmować zawodowo, jak taki minister, lecz jedynie z amatorstwa, w braku innego odpowiedniejszego zatrudnienia.

